

Stanisław Mikke

Stanie z boku

Palestra 46/9-10(537-538), 84-87

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stanisław Mikke

Stanie z boku

Zwykło się uważać, że okres wakacyjny to tak zwany sezon ogórkowy, w którym nic istotnego się nie wydarza, dziennikarze zaś na siłę poszukują jakichkolwiek sensacji.

Letnie miesiące bieżącego roku przyniosły ostre zaprzeczenie tej dość powszechnej opinii, żeby tylko wymienić serię tragicznych wypadków polskich autokarów za granicą, czy też zaskakujące zmiany również w resorcie sprawiedliwości.

Wkrótce potem ujawnienie przedawnienia w stołecznym śródmiejskim sądzie sprawy z 1992 roku trzech drobnych przestępców, którzy przez kilka lat wyrosli na groźnych i głośnych gangsterów, zbiegło się z inną wiadomością, która obiegała nie tylko kraj. Przekazały ją stacje telewizyjne w wielu krajach.

„Lincz na oczach policji” – donosiła 8 sierpnia na pierwszej stronie *Rzeczpospolita*, a wewnątrz numeru tekst zatytułowano: „Stoczniowcy biją, policja patrzy”. Dzień wcześniej wszystkie telewizyjne programy informacyjne w długich sekwencjach ukazywały poniewieranego i bezlitośnie bitego prezesa zarządu szczecińskiej firmy odzieżowej. Na twarzy maltretowanego przerażenie. Dobrze to było widać, kamery pracowały z bliska. Udało się też znakomicie zarejestrować skamłanie o pomoc, mikrofony skrzętnie podtykano pod usta.

Dziennikarze wtargnęli, bo jak to inaczej nazwać, do gabinetu wraz z nastpnikami. Gdy prezesa z zerwanym częściowo z niego ubraniem wywleczono stamtąd, nie odstępowali go, prześcigając się, który będzie pierwszy, ze

swym profesjonalnym, zdjęcia świadczą, że najwyższej klasy, sprzętem. Nie zawiódł, zapisywał klatka po klatce również twarze przepełnione złowrogą zaciętością.

Zarówno w telewizyjnych przekazach, jak i na fotografiach zwłaszcza w *Gazecie Wyborczej* można było zaobserwować jak półprzytomny ze strachu człowiek usiłuje się wyrwać oszalałym agresorom. Tuż za nim biegną kamerzyści i dziennikarze z mikrofonami, jeden z nich z błyskiem w oczach przepycha się w drzwiach z innym, byle prędzej, byle bliżej bezbronnej ofiary. Żeby tylko nie uронić nic z bezprzykładnego spektaklu brutalności i chamstwa, żeby zapisać jak najdokładniej kolejne obrazy ponizania.

Ani w dniu zdarzenia, podczas którego policja wykazała się niesłychaną, wręcz niepojętą i wszystko wskazuje, że przestępczą inercją, ani kolejnego dnia nie zastanawiano się nad zachowaniem dziennikarskiej braci. Ktoś co prawda w jednym z programów telewizyjnych zapytał o to, ale u wszystkich innych dyskutantów sprawnie zadziałała funkcja – „zignoruj”. Bo nie od dziś wiadomo, że lęk przed czwartą władzą każe jej kłaniać się nisko, w pas.

Życie zwane z *kropką* idąc z nurtem najgorszego populizmu dało swoisty popis tytułując swoje teksty: „Prezes Odry wzięty szturmem” i „Na taczkę Walusia!”.

Nigdzie żadnej refleksji nad postawą dziennikarzy. Ocknęła się wreszcie *Gazeta Wyborcza*. Zacytujmy kilka z przeprowadzonych rozmów, w których pytania usiłują ratować godność zawodu, a jednocześnie dobrze ilustrują spustoszenia, z jakimi mamy do czynienia.

Dziennikarz zapytał swego kolegę ze szczecińskiego oddziału *GW*, świadka pobicia prezesa Odry:

„Czy w którymś momencie przyszło ci do głowy, by stanąć w jego obronie?”.

Odpowiedź: „Tak, kiedy już wiadomo było, że to nie skończy się na wyzwiskach...”

„Jednak – pyta dalej redaktor – nic nie zrobiłeś. Bateś się ...?”

„Nie, to był ułamek sekundy, taka refleksja gdzieś z tyłu głowy. Praca dziennikarza polega na relacjonowaniu wydarzeń. Jesteś oczami i uszami opinii publicznej. Byłem skupiony na tym, by jak najwięcej zarejestrować”.

„Czytelnik pyta jednak, dlaczego dziennikarze nie porzucili swej profesji, by na chwilę stać się ludźmi?”

Indagowany odpowiada bez cienia zawstydzenia: „To także kwestia zawodowej rutyny (...)”

Powiedzieć, że wieje grozą, to przecież mało. A te „oczy i uszy opinii publicznej”, jeśli nie wyniosły z wcześniejszych lat moralnego elementarza, może należałoby odesłać nie tyle do szkół, ale choćby do podręczników. Na przykład do znanej pozycji pt. „Etyka środków przekazu” Wiliama L. Riversa i Cleve Mathewsa (Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1995 r., s. 66 i 67).

„Kiedy demonstrujący człowiek oblewa się benzyną i podpala, telewizorowie chcieliby, aby reporter, miast nakręcać metry taśmy filmowej, troszczył się przede wszystkim o ocalenie płonącego. Informując o spadających na ludzi nieszczęściach reporterzy powinni, zdaniem większości czytelników czy odbiorców obrazu, okazać współczucie ofiarom. Społeczność nie chce, aby

masowe środki przekazu były wykorzystywane do podważania społecznej moralności, lub żeby szkodziły zdrowiu publicznemu. Zajmujący się problemami etycznymi naukowcy stwierdzili, że społeczność oczekuje, by najbardziej cenione przez nich wartości – współczucie i umiarkowanie – obowiązywały również masowe środki przekazu, gdyż cementuje to społeczne życie. (...) Etyczne kodeksy prasowe potępiają zachowanie budzące zastrzeżenia wśród czytelników, słuchaczy czy widzów”.

Czego można byłoby oczekiwać od dziennikarzu z „zawodową rutyną”, gdyby przeczytał mu choćby ten fragment? Ironicznego uśmiechu? A może dałby do zrozumienia, że on lepiej wie, na czym polega dziennikarski fach. I wyjaśniłby, czego od niego oczekują odpowiedzialni redaktorzy.

Kolejna rozmowa w *Gazecie Wyborczej* dostarcza niemniej szokujących odpowiedzi.

„Gdybyś był w środę w gabinecie prezesa Odry – pyta znana dziennikarka fotoreportera tejże *Gazety* – to co byś robił?”

Człowiek z aparatem: „Fotografowałbym. Bo rolą fotografa nie jest być stroną konfliktu. Jego rola polega na staniu z boku i fotografowaniu”.

„Tam nie było stron konfliktu – kontynuuje dziennikarka. – Przeciwno jednemu był agresywny tłum”.

„Dlatego pytam – odpowiada profesjonalista – dlaczego nie interweniowała policja (...)” I zaraz dodaje: „Zresztą wydaje mi się, że gdybym rzucił aparat i ruszył na pomoc prezesowi, nic bym nie wskórał”.

No cóż, acz odległa to paralela, ale – przy zachowaniu wszelkich proporcji – to ten sam sposób rozumowania, jaki zaprezentował jeden z sędziów, późniejszy profesor prawa, który skazał na śmierć bohatera narodowego Emila Fieldorfa. Przypomnijmy, w jednym z wywiadów, po ujawnieniu jego udziału w zbrodniczym wyroku powiedział, że przecież gdyby on odmówił, ten wyrok i tak wydałby ktoś inny. Więc o co chodzi? – pytał wychowawca wielu prawniczych pokoleń. Dlaczego zarzuca mu się sądową zbrodnię?

Jeśli zaszliśmy tak daleko, to może trzeba powiedzieć, że stanie z boku w nieporównywalnie bardziej dramatycznych sytuacjach u wielu ludzi pozostawiło nie gojącą się do końca życia ranę sumienia. Mówił i pisał o tym nasz wybitny korporacyjny kolega. Choć nikt nie stawiał moralnego zarzutu komuś, kto patrzył, jak hitlerowcy czy sowieccy okupanci wywlekali swoje ofiary z domów, by je na miejscu rozstrzelać lub przewieźć na miejsce kaźni, bądź zsyłać na niechybną śmierć. Wówczas przeciwstawienie się było straceńczym bohaterstwem. Jak wiadomo niektórzy na to się zdecydowali, stając w obronie – tu nie sposób uniknąć wielkich słów – człowieczeństwa. W Szczecinie Anno Domini 2002 należało oczekiwać tylko przyzwoitości. Oglądając relacje ukazujące szarpanie, bicie bezbronnego oraz niebierną przecież, ale pełną zawodowej aktywności postawę dziennikarzy naprawdę trudno wtedy było zrozumieć, jak to się stało, że z co najmniej ich kilkunastu nie znalazł się nikt, którym pokierowałby ludzki odruch? Że nikomu nie wyrwało się: dość tego!

Nic bym nie wskórał – mówi fotoreporter. A gdyby inni dali do zrozumienia, że nie ma z ich strony przyzwolenia na deptanie ludzkiej godności, że nie ma zgody na, mówiąc wprost, kryminalne zachowania?

W tej sprawie jest jeszcze jeden niebagatelny aspekt. Można tylko udawać, jak to się dzieje i przy innych okazjach, że się nie dostrzega tego, iż to kamery i liczna (ponoć liczniejsza od policji) reprezentacja reporterów stała się czynnikiem podpalającym nastroje. Przyznaje to fotograf, którego dewizą jest stać z boku. Opisuje swoje doświadczenia z Albanii podczas krachu finansowego: „Zauważyłem, że ludzie ruszali na demonstrację, gdy dziennikarze wychodzili z hotelu. Chcieli mieć świadków tego, co robią. Przed kamerami dostawali amoku (...)”

W całym tym zgiełku pojawił się ktoś, kto rozgrzeszył nie tylko dziennikarzy, ale przede wszystkim policję. Oświadczenie, szeroko rozpropagowane przez środki przekazu, wydało Stowarzyszenie Przeciwko Zbrodni im. Jolanty Brzozowskiej. Jej prezes, nie wiadomo czy do dziś, ale jeszcze do niedawna doradca Ministra Spraw Wewnętrznych Krzysztof Orszagh, piszący do organów ścigania na blankietach tegoż resortu żądania uchylenia tymczasowych aresztowań, chwali policję, która nie podjęła interwencji, bo chociaż Stowarzyszenie,

jak stwierdził, walczy z przemocą, to uznaje zachowanie stoczniovców za „desperacki akt obrony koniecznej”.

Na szczęście pojawił się głos, odosobniony w chwili, gdy piszę ten felieton, który próbował przywrócić porządek rzeczy. Dziennikarz Łukasz Lipiński w *Gazecie Wyborczej* w krótkim komentarzu pt. „Chłodnym okiem” w dwa dni od zdarzenia pisał między innymi: „Co zrobili dziennikarze? Włączyli kamery i dyktafony, przyciskali migawki... Ba, ścigali się, żeby zająć lepsze miejsce, zdobyć fajniejsze ujęcie. Czy komuś przyszło do głowy, że jak tuż obok biją innego człowieka, to trzeba zareagować (...) Nie czułem się dobrze, gdy nazajutrz czytałem dziennikarskie komentarze pełne potępienia dla stoczniovców i policji, w których nie było słowa o nas samych”.

Ta wypowiedź to dobry punkt wyjścia do tego, by szczecińska sprawa poruszyła nieco środowisko dziennikarskie. I stała się inspiracją do ozdrowieńczej dyskusji. Wszystko jednak wskazuje na to, że tak się nie stanie. Tym bardziej nie wolno dziś uciec od głośniego pytania, co obudziłoby w zawodowcach odruch zwykłej ludzkiej solidarności z poniżanym i bitym? Kij bejsbolowy czy dopiero nóż? A może, pójdźmy jeszcze dalej, nie istnieje taka granica i zasada stania z boku oraz zawodowa rutyna kierowałyby mikrofony, kamery i aparaty na twarz charczącego?